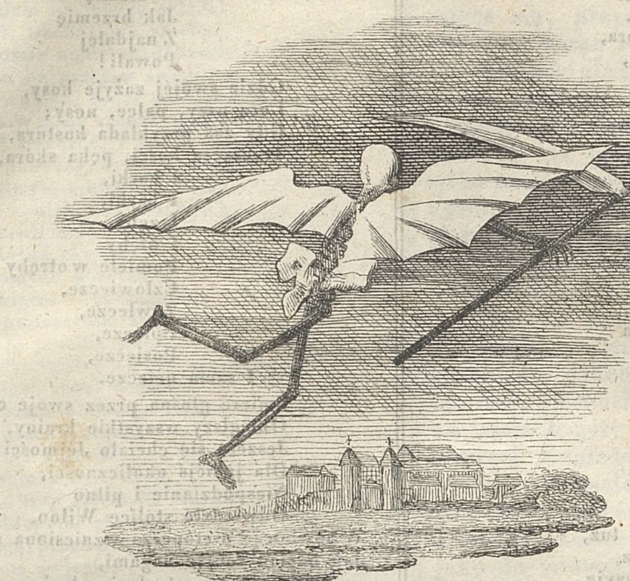
Przyjaciel Ludu.

ROK SIODMY. **No. 39.** **Leszno,** *dnia 27. Marca 1841.*



do miasta leci, a leci...
Z Przemowy.

Rajmund Korsak.

Urodził się r. 1768., umarł r. 1817. Towarzysz Tadeusza Kościuszki, a przyjaciel Jaśińskiego, służąc wojskowo wraz znimi, doszedł był stopnia pułkownika; osiadłszy na wśi, wspomnieniom upłynionych czasów, poezyi, rodzinie i przyjaciołom resztę lat poświęcił. Pisma jego dotąd z krótkich tylko urywków publiczności znane, zebrał J. S., a troskliwy o przechowanie onych, jeszcze roku 1831. złożył wręce moje; uporządkowane, gdzieniegdzie objaśnione i wiadomością o życiu jego poprzedzone, wyniosą spory tom in 4to, i wyjdą niebawem na widok; uwiadomiając niniejszém tak syna, którego jedyną pomocą zysk z tego wydania, jako i ziomków, mających wzgląd na wartość literacką onych, do rysów twarzy Korsaka, dołączamy nagrobek pióra zaszczytnie znanego poety:

Ziomku, wspólna ofiaro zwodniczych omamień,
Zbliż się, uczcij westchnieniem, łzami zroś ten kamień,
Grób to Rajmunda Korsaka,
Wieszczek ojczyzny drogi, kiedy skon jéj nucił,
Serce każdego Polaka
Własnym swym skonem zasmucił. —

Oto przemowa Korsaka do Uwag o śmierci niechybnéj ks. Baki S. J., w wydaniu trzeciém w Warszawie r. 1828. wyszłych.

Przemowa.

O Polaku
Współrodaku,
Czy w kubraku,
Czy w paklaku,
W kapeluszu, czy w kapuzie,
Mój Francuzie:
Nadstaw buzię,
I ty tłusty
Niemcze pusty!
Rzuć pekelfleisz i kapusty.
I ty rady, czy nie rady,
Rzuć menestry, czokolady,
Panie Włochu!
Oto zlochu
Książeczkę wydobytą zprochu,
Z myśli pobożną,
W koncept zamożną
Powitaj,
Przeczytaj,
I sens, jeśli można, schwytaj.
Dziś ona wyszła zpod prasy,
Autor zaś jéj w tamte czasy,
Był w Polsce Jezuita,
A Polska Rzeczpospolita,
Z któréj teraz kwita.
Proszę, wołam,
Ile zdołam,
Zaklinam cię siaki taki,
Ktokolwiek jesteś człowieku,
Chciéj poznać w dzisiejszym wieku
Dzieło wielkiego Baki.
Tam zobaczysz, jak nasz Baka,
Hippokreńskiego dosiadłszy szłapaka,

Przed sobą pędzi
Na kilka piędzi,
Śmierć z wielką kosą
Nagą i bosą;
Pędzi, mówię, na ziemię,
Straszyć ludzkie plemię.
Patrzcie! jak ten potwór nagi,
Straszne wszystkim daje plagi.
Tego porwawszy za szyję,
Kościaną nogą w tył bije.
Tego, gdy chwyci za żebra,
Wnet nie pospolita febra,
Zębami,
Szczękami,
Póty dzwoni;
Aż uroni
Duszeczkę,
Lubeczkę,
Jedynaczkę,
Nieboraczkę;
Ach! tak tak
Nieborak.
Na kogo spojźrzy ponura,
Już w gardle tego pleura
Swe sceny zaczyna,
Swe gorgi wycina
Ostatnie,
Aż wmatnie
Człowieka
Z daleka
Porywa
Złośliwa.
Innych znowu tuz, muz, tuz,
Już na łbie guz, guz, guz.
Potém przez nabrzmiałe szyje,
Wpadają apoplexyje,
I wgłowie wątory
Jak siano lub wiory,
Zamęcą,
Zakręcą.
Komuś daléj potwór srogi
Gdy podagrę wpędzi w nogi;
Próżno nieborak
Jak rak
Słabą nogą wil, wil,
Nie ma więcéj życia chwil;
Ból wpiszczelach strzyk,
Chory nogą bryk.
Tak bez siły
Do mogiły,
Nie włada;
Upada.
Gdy wreście z swojéj szczodroty
Opatrzy kogo wsuchoty,
Wnet gorączki
Jak zajączki,
Po żyłach biegają póty,
Aż śmiertelne sprawią poty.
Już kumpie poszły na schaby,
Już wzrok dziki, oddech słaby,
Ha pokuso!
Na cię kuso,
Amazonka
Już wędzonka,
Tłusty panicz
Cienki jak bicz,
Bez sposobu
Marsz do grobu.
Lecz czy tylko przez choroby
Śmierć ma na nas swe sposoby:
Nie masz z tą Jéjmością ładu,
Wszystkich bije bez układu.
I w szkarłaty
Dźga zakaty;
I po suknie
Dobrze stuknie;
I po płótnie
Tęgo utnie.
Gdzie już zmierzy ach! ach!
Tam nie próżny strach! strach!
Wielkie chłopy,
Gdyby snopy,
O ziemię
Jak brzemię
Z najdaléj
Powali!
Gdzie swojéj zażyje kosy,
Lecą uszy, palce, nosy;
Gdy zaś przykłada kostura,
Trzeszczą kości, pęka skóra,
I karki,
I barki,
I zęby,
I kłęby
Pomiele w otręby
Człowiecze,
Zawlecze,
Upiecze,
Posiecze,
I sama uciecze.
Śmierć głośna przez swoje czyny,
Obiegłszy wszystkie krainy,
Jeszcze się chciało Jéjmości
Dla jakiéjś okoliczności,
Niespodzianie i pilno
Odwiedzić stolicę Wilno.
W powietrze nietoperza wzniesiona skrzydłami,
Jak bocian robiąc nogami,
Do miasta leci a leci.
Skrzypnęły jędzy wywiędłe sustawy,
Obficie proch z niéj sypie się plugawy;
Bo śmierć mimo wielkiego kłopotu,
Nigdy nie zna uczuć potu,
Lecz im więcéj dozna trudu,
Tém więcéj z siebie wyrzuci brudu.
Gdy długą pielgrzymką znużona,
Do murów była zbliżona,
Kościół jéj w oczy zaświeci;
Bies jéj podał koncept z piérza
Blisko świętego usiąść Kaźimierza.
Zatém skromnie, jak należy,
Siada na kościelnéj wieży
Przez jakiś przypadek dziwny,
Nasz ksiądz, poeta przedziwny,
Odwiedzić wyszedł księgarza;
Drudzy mówią, że winiarza;
Co mu dochował przyjaźni wiary,
I miodek miał bardzo stary.
Pewnie go Autor kosztował,
Bo mu dzieło dedykował,
O niczém nie wiedząc, wychodzi z komnaty;
A wtém śmierć, która zasiadła na czaty,
Z wieży, jak jastrząb, spada na gołębia,
I swe pazurki w karku pobożnym zagłębia.
Baka na tak straszny pozew,
Krzyknął: *Jezus, Marya, Józef!*
Jak Jezuita skromnie się ułożył;
Wzniósł oczy w niebo, ręce na krzyż złożył;
Chcąc jednak uciec, raptem się zwierci,
A wtém mu książka wypadła o śmierci.
Widząc to Larwa, roztworzywszy ziewy,
Krzyknie: co znaczy ten kawał cholewy?
Przeląkł się Autor i zamilkł na chwilę,
Rzeknie: nic Pani, to są rubrycele!
Obaczym! wrzaśnie, i wtém zapalczywa,
Z ziemi pobożną książeczkę porywa.
Zajźrzy, i czyta, na siebie paszkwili,
A klechu, bodaj cię djabli wzięli!

Kto ci dał prawo, za pobudką marną
Tak mnie malować czarną;
Ty odrzutku Loioli, tak wielkiego męża,
Za to, żeś mnie opisał jak węża,
Za koncept nie ladajaki,
Zażyj śmiertelnéj tabaki.
Próżno nasz Autor eksorcyzmy gadał;
Próżno swe dzieło na innego składał;
Próżne wybiegi, trzeba było słuchać,
Śmierć się nieumie nigdy rozdobruchać.
Ukląkłszy zatém na przeciw świątnicy;
Wzniósł oczy wniebo, zażył ciemierzycy;
Wtém, gdy mu wnosie srodze zakręciło,
Kichnął, drgnął trzykroć, i już go nie było.
Tak tedy mąż pobożny, i poeta wielki,
Który miał w głowie i klepki i belki,
Idąc wniebieski przybytek,
Zostawił dzieło małe,
Sobie na chwałę.
A nam na pożytek.
Prawowierni Chrześcianie,
Co na powszechne żądanie
Księgę tę przebić śmieli,
Jeźli czytelników swych przez to ujęli,
Nie pragną innéj nagrody,
Tylko przez bliźniego miłości powody,
Za duszę Autora,
Poezyi professora,
Jeźli wola będzie czyja,
Zmówić trzy *Zdrowaś Marya.*
Ja zaś, com skłopotał głowę,
Pisząc tak długą przemowę,
I Bakę musiałem świecić,
By wam się lepiéj zalecić,
Czy Hanc, czy Franc, czy la, czy de la, czy Lach,
Jak długi do nóg waszych upadam, bach, bach, bach.

Dyaryusz oblężenia Częstochowy w roku 1770.

(Z rękopismów pana N Raśińskiego.)

(Dokończenie.)

Dnia 11. Stycznia jeszcze przededniem zwszystkich stron słychać było ściągające się do obozu nieprzyjacielskiego podwody, za nastąpieniem zaś dnia jasno widziano z fortecy, iż nieprzyjaciel wnowe sposoby zabezpieczał się, i faszyny gotował, myśląc jeszcze sam, ostatnią wzbudzony desperacyą, szturmować fortecę. Co gdy przez cały dzień przemienić się nie mogło, ciągnęły z faszynami podwody, zwykła też ostrożność i przygotowanie zachowane były na Jasnéj-górze. Samym wieczorem na 17stu wozach dostarczającéj wysokości wieziono drabiny, ponieważ pierwsze przykrótkie były; pełen uweselenia żołnierz konfederacki do powtórnego utraktowania wojska nieprzyjacielskiego pokazał ochotę. Równo zaś zmrokiem nieprzyjaciel fortecę bombardować zaczął, kilkadziesiąt kul i bombów na przemiany wraz zinnych szańców na fortecę rzucając, okazywał, jako już nie szturmem, ale bombardowaniem słabić będzie Jasną-górę, i wtéj nadziei, aby był mógł bez czułéj ostrożności zastać fortecę, inną myśl przedsięwziętą mając, która w późniejszym czasie dostatecznie odkryta była; myśl jego ta była, aby się ostatnim azardem tym pokusić, szturmując fortecę; a gdy już do tego dzieła czyniąc przygotowanie, zakładał z officerami radę, wtém JX. Superior karmelitański konwentu krakowskiego od kościoła ś. Michała, przywiózł nowinę, iż wojsko konfederackie, w Bochnii i w Wieliczce lokowane, znaczne podjazdy, o sam Kraków ocierające się, przyseła. Zmieszany tą nowiną Drewicz, zaraz téj nocy podpułkownika Lange w tysiąc ludzi dla sukursu komendy stojącéj wKrakowie wysłał. Sam z komendą mniejszą zostawszy pod Jasną-górą, nieśmiał jéj szturmować. I tak po odebraniu téj wiadomości nie tylko szturm nie nastąpił, ale i bombardowanie ustało, które coraz od początku swego było słabsze. W fortecy zaś armata dłużéj daleko wich szańce biła. Reszta zaś nocy spokojnie wczułości i ostrożności przepędzona była.

Dnia 12. Stycznia. Gdy się dobrze z rana rozjaśniło, czyniąc komenda nieprzyjacielska aparencyą, jakoby do przystąpienia przyszłego szturmu, piechocie swoje faszyny, za górą leżące, na wierzch góry ku szańcom nośić, i one na postrach Konfederatów równo z frontem bateryi swojéj wniemałéj sztuce układać kazała. Dogodziła ta inwencya Konfederatom, bo armata z fortecy, kartaczami nabita, do nieprzyjaciół, jako do mrówek ku polu czołgającym się rychtowana, za kilkakrotném wystrzelaniem wielką liczbę trupem położywszy, nie mało innych raniła. Poprzestał nieprzyjaciel téj roboty i do bateryi swojéj umknął się, do któréj można było z hakownic i jańczarek z murów sięgać nieprzyjaciela, co się nie bez znacznego poruszenia żołnierzy nieprzyjacielskich działo.

Dnia 13. Stycznia. Już feldwachy nieprzyjacielskie jańczarkami i hakownicami tylekroć rażone, odciągnęły się od fortecy, już i wszańcach mało piechoty widać było: ściągniona była od ogrodu św. Barbary. Różnie o tém wfortecy imaginowano, czyli na zdradę, czyli z osłabienia nieprzyjaciela dzieje się? trudno dojść tego było. JW. Puławski, jak zawsze, tak i pod ten czas w pilnéj ostrożności trzymał fortecę, piechotą i armatami, tudzież strażą, kanonierów porządnie opatrzył. Wtéj robocie dzień strawiony, i od okazywania się nieprzyjaciela wolny. Żołnierz konfederacki wywczasowawszy się, całonocnéj ostrożności miał zaleconą czułość. Téj nocy rzucane były bomby i kule ogniste do fortecy, zmurów czekają zbliżającego się nieprzyjaciela, częścią do szańców jego wyrychtowana armata w obydwóch miejscach klęskę przynosząc, zgasiła wkrótkim czasie ogień nieprzyjacielski, a potém noc cała skończona.

Dnia 14. Stycznia. Jeszcze przededniem wielkie dymy i ognie pokazały się po za górami po łące, które znawiezionych faszyn podniecone zostały; potém, o godzinie 8., podwód niezmierną moc od Kłobucka, Olsztynu i Mstowa, Kozacy gnali próżnych, które podwody obrokami, sianem, mięśiwem i innemi rzeczami

tegoż dnia wyładowawszy. Do podróży zabierał się nieprzyjaciel, o czem niewiadomo w fortecy, coby to była za przyczyna do odjazdu Drewiczowi. Nagle zatrwożeni, gdy oficerowie dwaj nieprzyjacielscy, od Konfederatów pleyzerowani, wysokiéj jakiéjś rangi, przeszłéj nocy pomarli, trzeci chodząc padł nagle i umarł. Brat Drewicza starszy, w przenoszeniu faszyn ku szańcom przytomny i u lewéj nogi w kłąb mocno plejzerowany. Co widząc Drewicz, z tém się dał słyszeć, że to jakieś kanalskie miejsce, żeby nie przyszła na mnie koléj. Tego dnia wyjeżdżał ochotnik polski aż ku szańcom, strzelał z ręcznéj strzelby, ale się nieprzyjaciel nie ukazał, piechota tylko w murach ogrodnych przy broni stała, a fury ładowane od rzeki Warty pod murem zostawione. Powróciwszy ochotnik polski przed wieczorem, miał się do nocnéj ostrożności. Z szańców nieprzyjacielskich już nie bombardowano, ani kulami nie strzelano. Cała spokojna noc przeszła.

Dnia 15. Stycznia. Jeszcze przededniem przy bystrym mrozie słychać było skrzypienie wozów, na których furazie wieziono, mimo Staréj Częstochowy, przez rzekę Wartę; przy nich wyprawiono armaty i resztę amunicyi, aby przededniem skrycie przed Konfederatami przez tę rzekę przeprawione były: po resztę zaś furażów, któremi się Drewicz nad potrzebę był opatrzył, przymuszony był obywatel napędzić podwód, na które same ładowano furazie, poczém ruszyły szwadrony tak od św. Rocha, jako od św. Barbary, w assystencyi Drewiczowskiéj, i innemi cugami. Piechotę pod samą rzekę Wartę, bojąc się kuli armatnéj konfederackiéj, Kozaków i 7 szwadronów karabinierów zostawiono, dla przeprowadzenia reszty furażów, jedne na wozy ładowano, a drugie dopiero kłaść miano, aby za pierwszym bezpiecznie ciągnąć mogły podwody, Kozakom zaś zlecono dopełnienie, ażeby przejeżdżając się szańcami, strzelając, zabawiali Konfederatów, aby wolne Drewiczowi i bezpieczne przejazdy były, i bez przeszkody reszta przyjechała furaziu, aby tak zastąpili impet wojska konfederackiego. Co spostrzegłszy Konfederaci i JW. Puławski, obrócił 2 armaty kartaczowe na spędzenie i rażenie Kozaków, inne zaś donośniejsze obrócił na szwadrony karabinierów, piechotę jańczarkami i hakownicami razić kazał. Kozackiego ochotnika i infanteryą za rogatki wyprowadziwszy, sam w osobie swojéj z dragonią i inną kawaleryą za fortecę wyjechał. Co gdy się w punkcie stało, Kozacy w pół kwadransu za górę spędzeni, na którą, gdy dragonia szwadronami następowała z infanteryą, po całym polu uciekać musieli, rozłożywszy się.

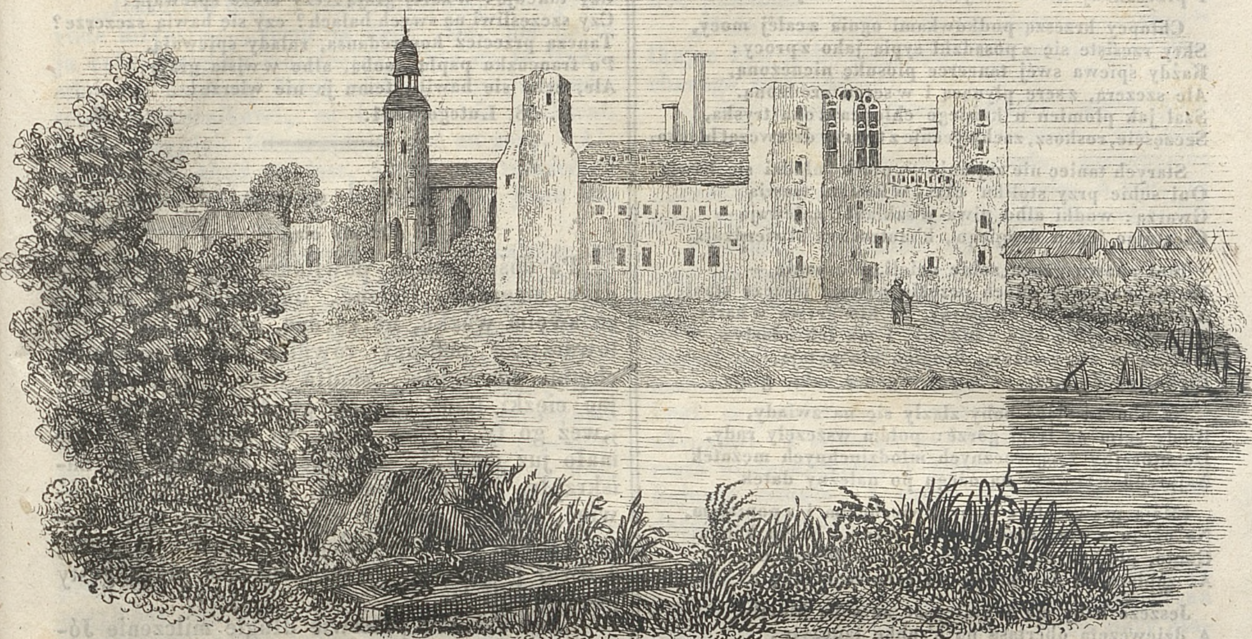
Zostawiony przy furażach nieprzyjaciel, który był do zabierania naznaczony, próżnym chłopskim wozom uciekać kazawszy, sam do podobnego udał się sposobu. A Konfederaci w tym punkcie ogarnąwszy szańce nieprzyjacielskie, wpadli do św. Barbary, gdzie zastali siano, obrok, chleb, nawet z baryłkami masło i pszenny chleb, a gdy się to dzieje, armata z fortecy wyznaczona, karabinierów i piechotę gęsto ścigać poczęła, przed którą jazda, jako i piechota umykając, gdy niektóre wozy furażami i sianem naładowane, w liczbie więcéj niż 30 będąc, mijać zaczęli, a widząc, iż 7 szwadronów zostawionych bez sprawy ucieka, pomieniony furaż, by się nie dostał Konfederatom, wszystek na wozach zapalili, którego dla siebie zatrzymać nie dufali. Nacierał żołnierz konfederacki na uciekającego nieprzyjaciela aż do Staréj Częstochowy, który mając za przeprawą armaty wyrychtowane, i część piechoty wprzód postawiwszy, zatem jako najbezpieczniéj przez Wartę przeprawił się.

Tandem przeprawiwszy się, widząc konfederackiego żołnierza w Staréj Częstochowie kupiącego się, mając przed sobą las wielki w bliskości, obawiając się, aby ich w lesie nie atakowano, aż ku wieczorowi, jazda i piechota nieprzyjacielska za rzeką Wartą stała, do któréj zaraz żołnierz konfederacki bliżéj docierając, cały dzień się mieszając, przed samym wieczorem do fortecy powrócił. Zostawiwszy w Staréj Częstochowie siano, obrok i innych wiele żywności, czego nieprzyjaciel, ciągnieniem za sobą ustraszony, zabrać nie zdołał.

Niech będzie cześć i chwała Najświętszéj Maryi, że raczyła dopomódz konfederacyi!

Ruiny zamku w Drzewicy.

Drzewica jest małe miasteczko w sandomirskiém, nad Drzewicą, słynne z kuźnic żelaznych, których tu jest kilka pieców. Z miasteczka tego wyszli Drzewiccy, rodzina już wygasła, albo przynajmniéj rozdrobniona, mająca nie jednę piękną kartę w dziejach Polski. Z niéj pochodził Maciéj Drzewicki, kanclerz w. koronny, po sławnym Janie Łaskim, a późniéj Arcybiskup gnieźnieński. Czy zamek, którego ruiny rycina przedstawia, jego, lub jego następców dziełem był, niewiadomo nam. Wspaniały zamek ten zniszczył pożar w r. 1814. W Drzewicy jest jeszcze uwagi godnym kościół, którego założenie przypisują Władysławowi Łokietkowi, lubo powierzchowność jego nieoznacza takiéj starożytności; kościół ten złupiony niegdyś przez Szwedów za Jana Kaźimierza, posiada niektóre pomniki.



Widok ruiny zamku w Drzewicy.

Ostatki.

Jedni chcą się weselić, drudzy się weselą.

Chcecież wiedzieć, jak się chłopcy bawią z dziewczętami
Na ostatki w Obiezierzu pod Obornikami?
Jak się bawią, jak śpiewają, jak tańczą wesoło,
Chcecież wiedzieć? To słuchajcie, obstąpcie mnie wkoło!

W dzień wtorkowy, nad wieczorem, po odbytéj pracy,
Wykrzykując, idą przez wieś parobcy, średniacy;
Wykrzykując: o świeci się! oj nasza! oj nasza!
Okrzyk taki wszystkich ze wśi do gościnca sprasza.

Idą przez wieś, razem z nimi skrzypek postępuje,
Skrzypek Mucha — któż go nie zna? Bartek mu wtóruje.
Czy to marsza, obertasa, czy mazura grają?
Trudno poznać! Ale hucznie grają i śpiewają.

Do gościnca wszyscy idą i grajków prowadzą —
Dziady, baby i dziewczęta z nimi się gromadzą.
A gościnny razem z żoną — pomny gościnności —
Wita, sadza po za stołem i częstuje gości.

Mucha zasiadł koło pieca z skrzypcami na łonie,
Przy nim Bartek siadł po prawéj, Bąk po lewéj stronie;
Bąk, co w basów niedostatku na ćwierci dobija
(Nikt tak hucznie jak on ćwiercią taktu nie wybija).

Wtém Stach z grona parobczaków gdy Kasię swą zoczył,
Wprost ku Musze z pośród ciżby na przodek wyskoczył;
Lecz nim mówić zaczął, śiwą czapkę uniósł z głowy,
Pokłoniwszy się skrzypkowi, mówił temi słowy:

„Daléj Mucha, graj od ucha skocznie, żwawo, śmiało!
Rznij polskiego! bo też zgarniesz dziś grosza nie mało;
Daléj, zarznij po swojemu do przodku mazura,
Na odsiébkę i na k'sóbkę — o świeci się! hura!"

Tu na głowę śiwą czapkę prawą ręką wcisnął,
I z podełba na Kasieńkę czarném okiem błysnął;
Skoczył ku niéj — tupnął nogą, jak zwyczaj w gościńcu,
A że Kaśia nie od tego, widać po rumieńcu.

Tupnął nogą po raz drugi, ręką k'sobie skinął,
Porwał za pas, by z dziewczęciem mazura wywinął.
Kasia pląsa tak polotnie, że ziemi nie tyka,
Jako piórko, gdy przed wiatrem do nieba ucieka.

Czarne czółko — z rozmarynem — Kasia wtedy miała —
Kruczy warkocz jasną wstęgą poprzek przewiązała;
A Stach suknię granatową, taśmy jedwabnemi
Wyszywaną włożył na się: na głowie z pawiemi

Śiwą czapkę miał piórkami; któż mu w stroju zrówna?
Tańczy dziarsko, choć podłoga w gościńcu nie równa.
Wszystkich oczy się zwróciły na Kasię i Stacha;
Każdy chciałby ją za swachnę, każda go za swacha.

Boć też Kasia ładne dziewcze — dalibóg nie kłamię;
Boć też ręce Stacha rzadko zrówna czyje ramie.

Janek też nie baba przecie, przodował na wieńcu,
Za cóżby miał jak dziad siedzieć nieczynny w gościńcu?

Ujął dziewcze śilną dłonią, opasał na poły,
I zaśpiewał, co miał gardła, dziewczęciu wesoły:

„Oj, nie boję ja się pana, ani ekonoma;
Odrobiłem w polu zaciąg, będę siedział doma!
Z tamtéj strony Warty kąpała się wrona,
A wokumun myślał, że to jego żona!"

A gdy Janek drugą parą za Stachem pogonił:
Wach po Janku przed Marysią w podkówki zadzwonił;
A po Wachu krzepki Michał; po krzepkim Michale
Znowu inny, tak, że wreszcie nie zostało wcale

Miejsca w karczmie, by się ruszyć; aże skrzypek Mucha
Obertasa na odsiebkę ciągle rznął do ucha:
Wszystkie pary, tak jak stały, tak się też kręciły,
I przeszkody nie zważając, mile weseliły.

Chłopcy krzeszą podkówkami ognia z całéj mocy,
Skry rzęsiste się z posadzki sypią jako z procy:
Każdy śpiewa swéj tancerce piosnkę nieuczoną,
Ale szczerą, z serc płynącą i w sercu zrodzoną.
Szał jak płomień u każdego chłopca z oka tryska,
Szczęście, roskosz, zachwycenie z twarzy dziewcząt błyska.

Starych taniec nie zajmuje — niech młodzi się bawią!
Oni sobie przy stoliku czas w kąciku trawią.
Gwarzą: wódki albo piwa w szklanki nalewają —
Częstując jeden drugiego, k'motrostwa stwierdzają.

Inni znowu ganca sobie ucięli, Mospanie —
Wzdyć na karty onych przecie pewnie jeszcze stanie!
A choć mówią im niektórzy, że kto grywa w karty,
Ten się zwykle bije z ludźmi, i ma łeb odarty:
Oni na to nie zważają, drugich nie pytają,
Cicho, zgodnie, że aż miło, w ganca sobie grają.

Na uboczu stare baby zlazły się na zwiady,
Kiedy sejm na łyséj górze: potém wszczęły rady,
Do którejby z tegorocznych młodziuchnych mężatek
Najprzód wtargnąć na ożegu po należny datek.

(Mają prawo stare baby z wiechciem i z popiołem,
Na ożegu z wrzaskiem po wsi jeździć całém kołem.
Gonić, płoszyć młode panie, wybić dogonione,
Aż zapłaci im pan młody za czepiec i żonę.)

Jeszcze baby się w najlepsze ze sobą kłóciły,
A dziewczęta obertasa na k'sobkę tańczyły;
Właśnie Mucha na odsiebkę mazura zagrywał,
Właśnie Matusz do swéj Zośi tę piosenkę śpiewał:

„O święci się! moja Zosiu! oj nasza! da dana!
Dziś wywijam — jutro robić trza będzie na pana!
Dzisiaj tańczę — jutro na łeb nasypią popiołu.
Kiedyż znowu tańczyć, Zosiu, będziemy pospołu?

„Niech się dzieje wola boska, choć na łbie z popiołem
Trza pracować — nic nie szkodzi! twém oczkiem wesołém
Będę kraśił wszystkie chwile!..." gdy niespodziewanie
Doleciało z sieni stróża nocnego śpiewanie:

„Posłuchajcie gospodynie i wy gospodarze!
Bo dwunasta już dochodzi w dworze na zegarze:
Ogień zgaście — a na czeladź — no się nie spuszczajcie,
Idźcie do dom, Matkę boską wprzódy wychwalajcie!"

Na te słowa wszystko zmilkło, każdy stróża słucha:
Milczą skrzypce, ćwierć ucichła; smutni Bąk i Mucha.
Ksiądz w niedziele na ambonie nakazał surowo,
By we wtorek karczmę zamknąć przed nocy połową.

Księdza słowa wszystkim święte, a więc w jednéj chwili
Chłopcy razem z dziewczętami ku grajkom skoczyli;
Sypli grosza sporo w skrzypce, aż skrzypce jęknęły,
Jakby z strachu, aby tylko wszystko w się objęły.

A gdy każdy grosz swój wrzucił: stary rataj Grzela,
Chociaż stary, jednak drużba każdego wesela,
Miecz drewniany wziąwszy w rękę, i do Muchy głowy
Przyłożywszy, mówić k' niemu począł temi słowy:

„Biedny Mucho, biedny skrzypku, i cóż nam po tobie?
Kiedy radość i wesele jutro legnie w grobie?
Legnij i ty biedny grajku z pomocniki twymi,
Razem z tańcem i muzyką i skrzypcami w ziemi!
I leż póty w zimnym grobie, aż smutki przeminą —
Na Wielkanoc powstań z ziemi razem z oziminą!"

Klęknął Mucha, klęknął Bartek, i Bąk zgiął kolano,
Grzela uniósł im nad głowy szablicę drewnianą,
Raz nią machnął, i trzy trupy za jednym zamachem
Spadły z ławy. Poczém wszyscy z gościńca za Stachem
Całym hurmem ku domowi ponuro ruszyli,
Smutni, że tylko tak krótki czas ze sobą tańczyli!

A w mieście, cóż ludzie robią? — *Wieczorów* tam wiele,
A *salony* brzmią muzyką, a świec jak w kościele!
Czy tańcują? w karty grają? czy także śpiewają?
Czy szczęśliwi na swych balach? czy się bawią szczerze?
Tańczą przecież kontredansa, rulady śpiewają,
Po francuzku paplą z sobą, albo w wista grają;
Ale, żeby się bawili, temu ja nie wierzę!

D. 28. Lutego 1841. *M.*

Helena.

(Dalszy ciąg.)

Po dość zimném powitaniu pan Marcin widząc zmęczoną Helenę, ofiarował jéj miejsce na swoim wózku, na co ona, zwłaszcza, że jéj towarzysze podróży również na to nalegali, chętnie pozwoliła. Siadła więc, a Jan odpinając ciężki trzos, rzucił go Helenie, mówiąc: „weź go ty, oddaj ojcu, bo mnie on też nie mało już cięży." Marcinowi aż oczy się zaiskrzyły, gdy to zobaczył, i nic więcéj nie mówiąc, zaciął konie, i w kilka minut tylko kurzawa leniwo ich śladem po drodze spadała, a dwaj przyjaciele weseli, ochoczo przez gęsty postępowali las.

„Ach Jasiu!" przerwie długie milczenie Józef, „mnie to się wreszcie nie bardzo podobało, że Helena z Marcinem pojechała; Boże odpuść! ale ten Marcin na poczciwego nie wygląda."

„To zazdrość z ciebie gada," odpowie Jan. „Cóż to, Marcin tyle razy był u nas, i cóżby jéj miał złego zrobić."

„Ach toć téżto, że jéj nic złego nie zrobi, ale mnie za to w dwójnasób dokuczy."

„Ej, tylko nie wyrzekaj przed czasem. Helena, choć mu ma być przychylną, wszakże na ciebie też krzywo nie patrzy, a po tém możesz i na mnie trochę rachować."

Uściskał Józef Jana, ale jednak ta mowa nie uspokoiła go zupełnie; nieznana jakaś żałość serce mu ścisnęła, i żałował teraz, że namawiał Helenę do jazdy. I raźniéj iść począł, by prędzéj stanąć we młynie i na odpędzenie tęschnicy chciał sobie zaśpiewać, ale dziwno, serce jego tak było smutkiem przepełnione, że tylko smutne mu się nawijały piosnki.

4.

„Jużby też był czas," mówiła Marya do męża, „wydać naszą Helusię za mąż, toć też już szesnasty skończyła rok; pracowita, Bogu dzięki, niepochlebiając sobie, dosyć gładka i mnóstwo chłopaków o nią się dobija, a my ich zawsze niczem zbywamy, co też to nareszcie i ludzie pomyślą."

„A, niech myślą, co chcą," odparł młynarz, „ja i Bóg wie, czemu jéj dotychczas za mąż

nie wydałem; lubo i téż, Bóg widzi, na starą pannę jéj zamarynować sobie niechcę."

„Mnie się zdaje," po niejakiém milczeniu rzecze młynarka, „że ten Marcin, co tu wczoraj był, nie zgorzéj do naszéj braćby się chciał Helusi, a jabym mu ją wreszcie i dała, boć on niby i dosyć urodziwy, i grosza, jak się zdaje, ma nie mało."

„Jeszczeby téż," z oburzeniem niejakiém przerwie młynarz, „jemu ją dać? Ha! nie na to ja zebrał piękny mająteczek, nie na to wszystko na kochaną łożył córkę, żeby ją potém temu bezbożnikowi, co i Boga nie pochwali kiedy przyjdzie lub wyjdzie, dać za żonę. Albożwiesz, zkąd on jest, jakich ma rodziców? Bogdajbym nieprawdę mówił, ale jemu nie dobrze patrzy z oczu."

„Jeno się nie gniewaj, stary," całując go w czoło, odrzecze Marya, „ja to zwyczajnie tak sobie mówiłam, mnie on się téż nie bardzo podoba. Ale, ale, mój Mateuszu, jużem się téż tyle razy chciała spytać, czemuś zawsze przeciwny każdemu, choćby najbogatszemu, najprzystojniejszemu i najpoczciwszemu parobkowi, co się o naszą stara Helenę, i zawsze zapomnę; toć mi téż już nareszcie i powiedz, co ty z nią myślisz zrobić?"

„No, kiedyć chcesz, to ci i powiem. Bo to widzisz, ojciec Józefa był moim najlepszym przyjacielem, jużto i razem u mego ojca wyuczyliśmy się młynarstwa; razem po świecie chodziliśmy, zgoła jeden drugiego jak cień pilnował. Tymczasem on się ożenił, lecz nieborak niedługo swojém cieszył się szczęściem; w rok go żona odumarła, zostawiwszy mu syna Józefa, i on ze zgryzoty wnet za nią podążył. Przy zgonie wezwał mnie do siebie, a lubo sam na łożu śmiertelném leżał, mnie płaczącego pocieszał; i wtenczas przyrzekłem mu święcie opiekować się jego synem. Wziąłem go zatem do siebie; porówno z dziećmi własnemi, jak wiesz, pielęgnowałem, a widząc wnim i pilność w obowiązkach i nadto miłość ku naszéj córce, rozumiem, że lepiéj przyrzeczenia mego spełnić nie mogę, jak oddając Józefowi naszę Helenę za żonę."

Uściskała serdecznie stara Marya poczciwego Mateusza, a potém niespokojona, gdy już wieczór się zbliżał, a dzieci widać jeszcze nie było, uklękła, gorące do Boga za niemi wznosząc modły.

Jeszcze Marya klęczała, modląc się przed obrazem Najświętszéj Matki, a i poczciwy Mateusz na łożu leżąc, pobożnie złożył ręce i prosił Boga za dziećmi, kiedy wtém kondel zaszczekał, lecz wnet ucichł i tylko łaszenie się jego słychać było.

„Idą, idą, Bóg nas wysłuchał," zawołała Marya i poszła drzwi otworzyć, a niebawem Jan i Józef strudzeni weszli do izby.

„„Coto, Helusi nie masz?"" zawołał Józef, „„wszakże ona wyjechała z Marcinem naprzód!""

„A słowo stało się ciałem! Panie Boże, zmiłuj się nad nią!" ręce załamując, stara wołała Marya; „a gdzie ich zostawiliście?"

„„Gdzieśmy ich zostawili, toć wam powiadam, matko, że oni naprzód pojechali, tuż przed borem zabrał Marcin Helusię, i dawno już tu być powinni.""

„Boże, nie karz mnie za ciężkie grzechy!" łkając zawołała młynarka, nie odbieraj mi kochanego dziecka."

„„Nie rozpaczaj jeszcze matko, może tylko zabłądzili w boru,"" mówił Mateusz, ale jego własne serce straszne ścisnęło przeczucie; „„czekajmy, może jeszcze nadjadą, a nie, to jutro ze świtem wszystko pójdzie ich szukać.""

I czekali, a nikomu na myśl nie przyszło spać się położyć; wszystko w cichości się modląc ciekawie nadstawiało ucha, a za najmniejszym szmerem wołali: to oni! a potém z cicha westchnęli i opuścili głowy, bo to tylko wiatr zaszeleścił w trzcinie, to ptak wystraszony furknął w powietrzu, i znowu było spokojnie, okropnie. I straszna nadciągnęła burza, a im rosła niespokojność, i burza przeszła, niespokojność została, i znów cicho było i znów daremnie czekali.

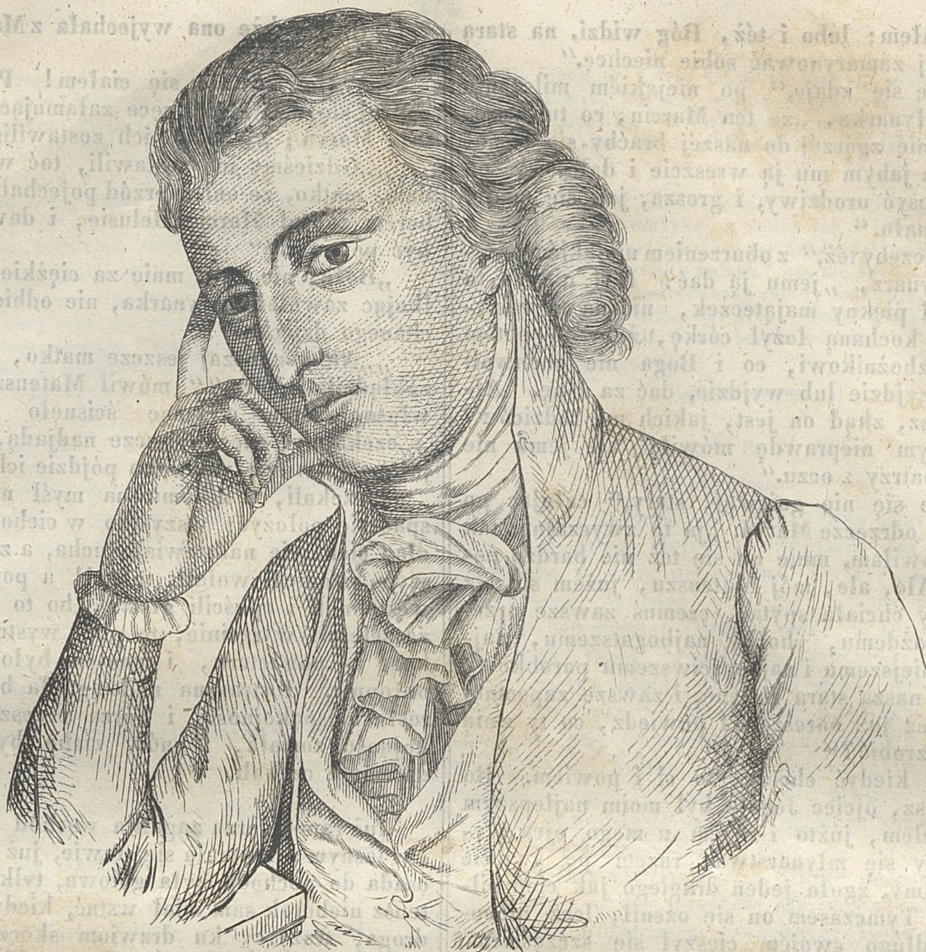
5.

Już ranna zorza zapaliła wschód widnokręgu i w jasnym przejrzała się stawie, już cała młyna osada do pochodu była gotowa, tylko stary Mateusz nieborak sam miał wstać, kiedy zatętniała droga, wszyscy ku drzwiom skoczyli i z pośród chmury tumanu ujrzeli.... oddział wojska, co spiesznie dążył ku młynowi.

Przybywszy przed niego, dowódzca zeszedł, a opowiedziawszy, że jest wysłany na szukanie zbójcy, ukrywającego się w tych borach, prosił o przewodnika; lecz jakże się zdziwił, kiedy cała rodzina z nim iść się zabierała. Dowiedziawszy się o przyczynie tego, siadł na koń i na czele plutonu jechał wolno za prowadzącymi go młyna mieszkańcami, a przed wszystkimi biegł pies Turek, wierny stróż młyna. Długo już byli chodzili, kiedy wtém pies parsknął, obrócił się do ludzi, szczeknął, jakby wołając, i spiesznie puścił się naprzód.

Za nim idący przysporzyli kroku, a kiedy ku krzyżowéj zbliżali się drodze, Turek usiadł pod starym krzyżem, co jéj pilnował, i zawył przeraźliwie. Jakby ubodzony poskoczył Józef naprzód, ale ledwo dobiegł figury, krzyknął i stanął jak wryty; nadbiegła Marya z Janem; lecz któż zdoła opisać rozpacz matki i żal syna, kiedy martwą Helenę u podnoża bożéj męki ujrzeli, a przy niéj leżał Marcin, w pół dziewicę objąwszy, z siną na czole plamą.

„O biednaż moja dola!" zawołała Marya; „na toż to ja cię, dziecię moje, wychowała, by cię teraz tak marnie stracić?! Córko! He-



Rajmund Korsak.

lusiu moja! słuchaj! to ja, twoja matka, cię wołam. Boże! ona niesłyszy, martwa. Panie, Tyś dobry, sprawiedliwy! O ja biedna, nieszczęśliwa matka!

Jan z żalu i przerażenia sam ledwo przy zmysłach będący, próżno ją uspokoić starał się; z rozpaczą na martwe rzuciła się ciało, ale łzy jéj i prośby już umarłéj nie wskrzesiły.

Nadjechał téż officer z żołnierstwem, co domyślając się, co tu zaszło, z daleka z przerażeniem na całą patrzał scenę, a ledwo zabitego ujrzał Marcina, uchylił czapki i „Święte Twoje sądy Panie,“ rzekł; „Tyś mędrszy nad pojęcie, i ludzką uprzedzać umiesz sprawiedliwość. Oto widzicie, ten jest zbójca, którego szukać mieliśmy; podaremna nasza praca, tu już Bóg ukarał. Weźcie trupa, i na téj górze go pogrzebcie, na wieczny znak i postrach jemu podobnym.“

A wtém z krzyża zleciał gołąbeczek, biały jak śnieg majowy, oczęta jak perełki świeciły, i usiadł przed rozpaczającą Maryą, i przymilając jéj się, strapioną zdawał cieszyć się matkę.

I dziwna w jéj serce zstąpiła spokojność, z cichem westchnieniem łzy ocierając, rzekła: „wróćmy się Jasiu, zabierzmy Helusię, a ty idź naprzód i starego przygotuj, boby może i nie zniósł okropnego ciosu. Józefie, chódźmy.“

(Dokończenie nastąpi.)

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: J. Łukaszewicz.)